

Fantastyka

wydanie specjalne

cena 9 zł 99 gr (w tym 8% vat)

numer 4 (45) 2014



PROSZYŃSKI
MEDIA

Premierowa powieść:

**Thomas
LIGOTTI**

Jeszcze nie skończyłem

**Sławomir
PROCHOCKI**

Strażnik Śmierci

Michał Antosiewicz - Dzieci wojny

Jarosław Nowosad - Pamiętam wszystko

Piotr Nesterowicz - Przewodnicy zmarłych

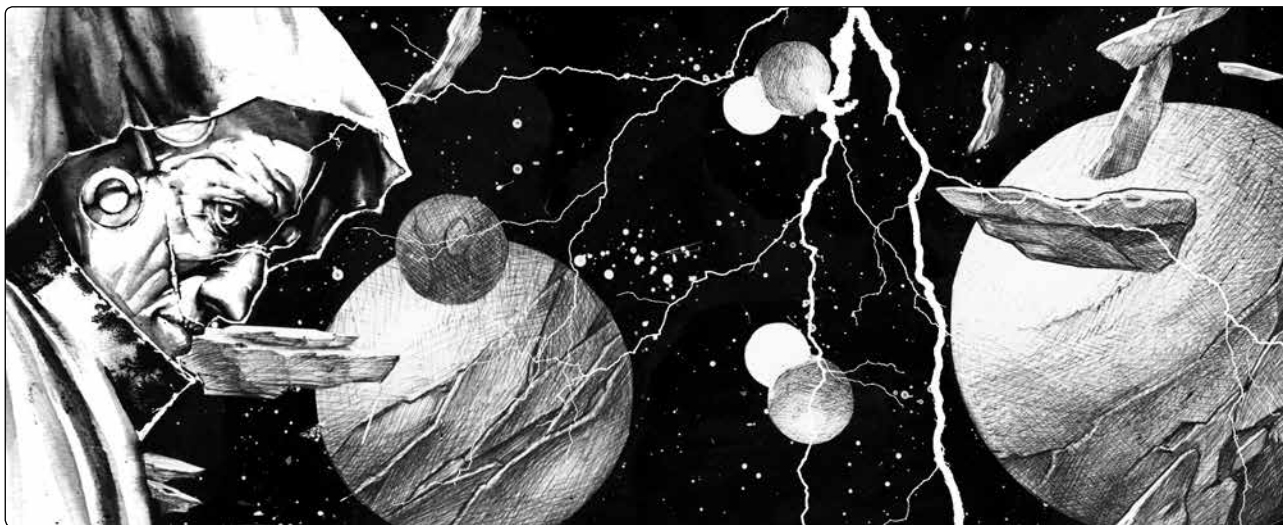
Paweł Lach - FaceBóg

Adam Podlewski - Głos jego pani

Ilustracja: Piotr (piofoks) Foksowicz, <https://www.facebook.com/piofoks>

DZIECI WOJNY

MICHAŁ ANTOSIEWICZ



Daniel Grzeszkiewicz

Arena – swoisty cud pustyni, jedna z niewyjaśnionych zagadek Erythei. Wysoka na kilkadziesiąt metrów skalna kolumna jako jedyna taka konstrukcja w promieniu setek mil zdołała się oprzeć powolnej erozji, jakby chroniona przed niszczycielskimi wpływami atmosfery. Rzeka, którą ją wyrzeźbiła, znikła tysiące lat temu, a ona trwała, niestrudzenie celując w niebo. Długo służyła za naturalny słup graniczny między ziemiami Aheen a H'dari, a dziś – zgodnie ze swą nazwą – jej idealnie płaski szczyt miał stać się polem bitwy. Najmniejszej i najważniejszej w całej historii wojny.

Chodząc po krawędzi, Aion czubkiem stopy strącał w dół leżące wokół małe kamyczki. Starał się przekonać sam siebie, że nie jest zdenerwowany. Po prostu zniecierpliwiony. Przechodził to już wiele razy, ale nigdy nie nauczył się ze spokojem oczekiwać walki. Dlatego zajął się kopaniem kamyczków i obserwowaniem ich lotu w dół, dopóki nie zmieniły się w niewidoczną drobinę, a niemiarkowe stuk-stuk przy uderzeniach o skalne występy nie zlało się w jedno z szumem wiatru. Lepsze to niż bezczynność.

Krażownik, który go przywiózł, dawno zniknął z pola widzenia. Taka była umowa – żadnych świadków, żadnego wsparcia. Uczciwie jeden na jednego. On i jego ludzie zamierzali dotrzymać tych warunków. Westchnął mimowolnie. Od początku miał złe przeczucia.

Z zachodu zbliżała się sucha burza. Aion nie należał do zaboobonnych, ale pojawienie się ciężkiej zasłony chmur właśnie teraz i właśnie w rejonach, gdzie rozciągały się ziemie H'darian, nie wydało mu się przypadkowe. To musiał być znak. Ostatni raz coś takiego widział, bępadkie. I od tamtego dnia wiedział – czarne chmury niosły zmiany.

Wyrwał wbitą w ziemię włócznię, gdy na horyzoncie zamajaczyła rosnąca z każdą chwilą plamka czerni. H'dariański krążownik z ogromną prędkością pruł przez martwą ziemię, wyprzedzając burzę i zostawiając za sobą kłęby siniego pyłu – wyglądał jak ogromny chrząszcz na kołach, którymi mógł zmiażdżyć wszystko po drodze. Nie potrzebował nawet tych wszystkich armat sterczących z jego pancerza na wszystkie strony, koła były wystarczająco niebezpieczną bronią. Jego widok nie zrobił na Aionie wrażenia – nie był to największy krążownik H'darian, zresztą wojsko Aheen dysponowało podobnym arsenałem. Pomyślał jedynie, że zbyt wcześnie odesłał swoich ludzi.

Stał teraz sam, bez wsparcia na czubku Areny, przez którą ten monstrualny owad mógłby przejechać, nawet nie zwalniając, i zo-

stawić za sobą kupę gruzu. Sam nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego, ale po H'darianach można się spodziewać wszystkiego. To by tłumaczyło ich tak późne przybycie – czekali, aż zostanie sam.

Mocniej zacisnął palce na metalowym stylisku.

Machina ze zgrzytem hamulców zatrzymała się niebezpiecznie blisko słupa. Przez chwilę trwała nieruchomo, jakby namyślając się, aż wreszcie obróciła w miejscu. Właz w jej odwłoku opadł, otwierając wejście na pokład, z którego wymaszerował uroczysty, acz skromny orszak. Obok maszyny ludzie wyglądali jak pchły obok psa. Jeden z nich, idący na samym końcu, wyróżniał się na tle reszty.

Aion nigdy dotąd nie spotkał generała Ekana, ale wiele o nim słyszał – powszechnie uważano go za największego stratega H'dari od czasów generała B'fotta. Aion nie miał pewności, ile w tych opiniach było faktów, a ile propagandy rozsiewanej przez wrogich agentów, lecz w pewnym sensie plotki mówiły prawdę: Ekan był dosłownie największym strategiem, jakiego miał kraj H'darian. Nawet z tej odległości widział, że góruje nad towarzyszącymi mu żołnierzami, niemal słyszał dudnienie jego kroków.

Niemożliwe, żeby to był jeszcze człowiek, pomyślał.

Orszak zatrzymał się. Aion dostrzegł, że tworzący go ludzie to tak naprawdę tragarze, którzy niosą między sobą połyskujący, podłużny przedmiot. Ekan zbliżył się do nich, przez chwilę stał nieruchomo z pochyloną lekko głową, jakby coś mówił. Modlił się. Opancerzoną dłonią chwycił przyniesioną rzecz i uniósł wysoko nad głowę. Wyraźnie chciał to pokazać Aionowi.

Honoru nie zastąpisz honorową bronią, pomyślał tamten chłodno.

Ekan opuścił włócznię, wzrokiem jednak nadal celował w małą sylwetkę aheenńskiego pułkownika na szczycie Areny.

– Odejdźcie – rozkazał.

Żołnierze załomotali pięściami w szerokie napierśniki, posłusznie odmaszerowali na pokład krążownika i natychmiast odjechali. Jedynym śladem po nich pozostała osiadająca powoli chmura pyłu.

Generał podszedł do skalnej kolumny. Czekająca go niełatwa wspinaczka, ściana pięła się w górę niemal idealnie pionowo. Rozwią-

ADAM PODLEWSKI



19

PRZEWODNICY ZMARŁYCH

PIOTR NESTEROWICZ



Jarek Mustat

1.

Mężczyźni pokonali ostatnie kroki dzielące ich od szczytu. O tej porze roku na granicy Krain Wewnętrznej i Zewnętrznej wieczory były chłodne i przy każdym wydechu z ust unosiła się para. Mimo że przywykli do długich pieszych wędrówek, ten marsz kosztował wiele sił. Przed pięcioma dniami cesarski posłaniec odnalazł ich w wiosce położonej dwa tysiące li na południe. Codziennie maszerowali kilkanaście godzin, zatrzymywali się na krótkie postoje, a na parogodzinny sen pozwalali sobie tylko wtedy, kiedy księżyc chował się za chmurami. Młodszy z wędrowców, wysoki i szczupły, z rysów nieprzypominający Hua, zachował więcej sił i pierwszy dotarł do grzbietu wzgórza. Jego towarzysz, niższy, barczysty, przygarbiony ze zmęczenia i z powodu wieku, dołączył po chwili. Byli u celu.

Po drugiej stronie doliny nierówną czarną krawędzią na tle szarego nieba majaczyły wzgórza. Zachodniego krańca kotliny, za którym rozpościerały się stepy Krainy Zewnętrznej, stąd nie było widać. Mężczyźni i tak nie interesowały te odległe widoki. Ich wzrok przykuło obozowisko. Szare i czarne namioty szczelnie pokrywały równinę, ostatnie z nich opierały się o stopy wzniesień naprzeciwko. Pomiędzy nimi mieściły się szerokie place z zagrodami, w których kłębiły się setki koni. Ciężkie czterokołowe wozy i lekkie rydwany stały wzdłuż traktów, które przecinały obóz niczym szerokie aleje w cesarskiej stolicy. Z niezliczonych ognisk unosiły się wąskie, siwe słupy dymu. Dzień był bezwietrzny i nic nie burzyło tych widmowych kolumn, których końce rozwiewały się wysoko ponad doliną.

– Tam. – Starszy z wędrowców wskazał środek obozowiska.

Centrum wyszczyła las białych chorągwi, osadzonych na wysokich, bambusowych tykach. Flagi były wszędzie. Pierwsze stały na samym skraju obozu, znacząc bramy wjazdowe. Im bliżej środka, tym było ich więcej, gęstniały, aż ich blade pasy tworzyły mur, który chronił to, co kryło się dalej. Wędrowcy nie mieli już wątpliwości, dlaczego ich wezwano. Żałoba białym całunem pokrywała obóz armii cesarza Shihuandi.

Strażnicy zatrzymali ich kilka kroków za grzbietem wzgórza. Skinęli głowami na widok ciężkiej, czerwonej pieczęci odcisniętej na glejcie, który wędrowcom przywiózł posłaniec na wierzchołcu toczącym ze zmęczenia pianę z pyska. Wartownicy szybko sprowadzili ich w dół i przekazali kolejnym strażom, niczym cenny pakunek, który pałacowa służba ostrożnie oddaje z rąk do rąk. Na szeroki trakt, prowadzący między rzędami szarych namiotów, weszli otoczeni przez ósemkę gwardzistów.

Wojownicy szli wyprostowani, czarne włosy spięte w koki dodawały im wysokości. Na długich tunikach błyszczały wypolerowane płytki zbroi z brązu. Długie włócznie sterczały sztywno, ich wąskie ostrza kłuły szare od dymu niebo. Na widok pary mężczyzn idących między gwardzistami żołnierze kręcący się przy namiotach podnosili wzrok, wstawali i podchodzili do skraju drogi.

– Gijanchou. Ci, którzy prowadzą duchy zmarłych – głośnie szepty towarzyszyły im aż do miejsca, w którym las białych chorągwi przecinał obozowisko.

2.

– Skromny Xiahe oczekuje was. – Eunuch o okrągłej twarzy uchylił jedwabne poły namiotu.

Imię kanclerza znali wszyscy w Krainie Wewnętrznej. Wędrowcy, zgięci w pół w głębokich ukłonach, weszli do środka. Wnętrze oświetlał ogień płonący w wysokich wazach, zdobionych filigranowymi postaciami smoków i niebiańskich węży. Podłogę wyłożono grubymi dywanami, a ze ścian spływały kobierce zdobione jedwabnymi nićmi o kolorach, które oszałamiały.

– Wasze imiona?

Mężczyźni powoli wyprostowali się i spojrzeli na czekającego na nich możnowładcę. Młodszy z przybyczy z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Skromny Xiahe też był eunuchem, wysokim i grubym. Łokieć jego szaty ze wspaniałego białego jedwabiu kosztował więcej niż wioska, na której przewodników zmarłych odnalazł carski posłaniec. Na palcach kanclerza błyszczały pierścienie, ciężki złoty łańcuch zwisał z grubej szyi. Skromny Xiahe bawił się wielkim nefrytem osadzonym na końcu wisiora.

– Jestem Liunfu, mój panie. – Starszy z wędrowców ponownie uklonił się. – A to jest mój towarzysz, Alushan.

– Sogdianin? – Kanclerz zmarszczył brwi.

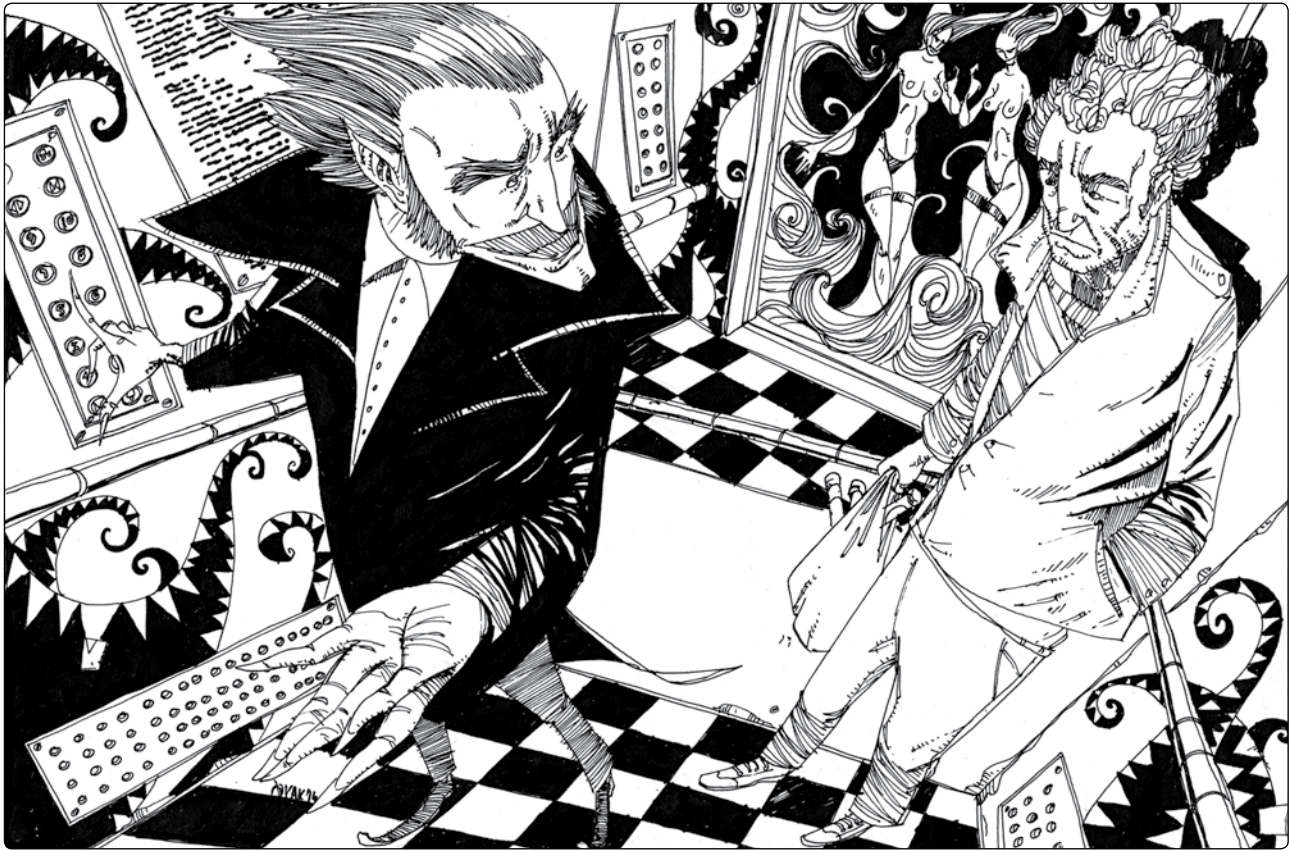
– Owszem, panie, ale tylko z urodzenia. – Liunfu tłumaczył pośpiesznie. – Był wychowywany w dobrej huańskiej rodzinie, a ze mną prowadzi zmarłych od wielu lat i...

Xiahe nie słuchał jego wyjaśnień. Z grymasem na twarzy odwrócił się do służącego, który za wędrowcami wszedł do namiotu.

– Nie wiedziałem, panie. Zostałem zapewniony, że ci dwaj należą do najlepszych przewodników zmarłych w Krainie Wewnętrznej. To ogromne niedopatrzenie, zaraz je naprawię. – Na nalanej twarzy sługi pojawiły się kropelki potu. – Każę ich natychmiast odesłać...

FACEBÓG

PAWEŁ LACH



Marcin Kulakowski

Pojawił się nagle, bez zapowiedzi. Trochę niezręczna sytuacja, bo podczas objawienia stała przede mną butelka wódki. Wydaje mi się, że było to zero siedem, opróżnione już do połowy. Od razu chciałem ją schować, jakoś tak nie wypada, ale za późno na to. Może poczęstować? Jeszcze gorsza myśl. No trudno, samo życie.

Nie potrafię go opisać należycie, choć siedzieliśmy naprawdę blisko, twarzą w twarz. Jego cielesność była po prostu rozmyta. Bijący z wnętrza blask, który działał kojąco, to pamiętam. Jakoś tak miło się zrobiło, jak na Gwiazdkę, gdy czuć sianem i smażonym karpem, gdy słyszeć kolędę, a bezdomni tańczą radośnie w śnieżną noc wokół koksownika. Przypatrywał się mojej osobie ni to z żalem, ni z litością. Nie spodobało mi się to. Do mnie z litością? Z drugiej strony nie spałem tak – zostałem sam, pracy nie mam, nie licząc kilku zleceń, a do tego rząd pustych butelek stojących pod kaloryferem. Nie świadczyło to zbyt dobrze o mej bieżącej kondycji. Miał prawo się litować, nawet jeśli mnie tym drażnił.

Mimo swej nie do końca materialnej powłoki, był nadzwyczajnie konkretny i rzeczowy. Wyłożył sprawę w kilku lakonicznych zdaniach. Wszystko niemal jasne, pomyślałem. Miałem jednak trochę pytań i chciałem je zadać, by nie było między nami niedopowiedzeń. Sprawa to biznesowa, a w interesach nie ma miejsca na wątpliwości. Nie zdążyłem jednak o nic zapytać, bo się zmył, zniknął tak całkiem dosłownie, i trwałem w zawieszeniu, czy aby odwiedził mnie na pewno.

Został mi tylko mój laptop i kuszący snop z lekka niebieskiej poświaty, która rozpraszała mrok. Stopiłem się zaraz

z komputerowym ekranem i klawiaturą w jedno. Przesuwałem myszką tam i z powrotem, wodząc zmęczonymi oczami po facebookowej tablicy, wciąż gapiąc się na te same linki. Wódki jeszcze trochę zostało. Zawsze coś.

Dostałem powiadomienie. Bóg zaprosił mnie do grona znajomych.

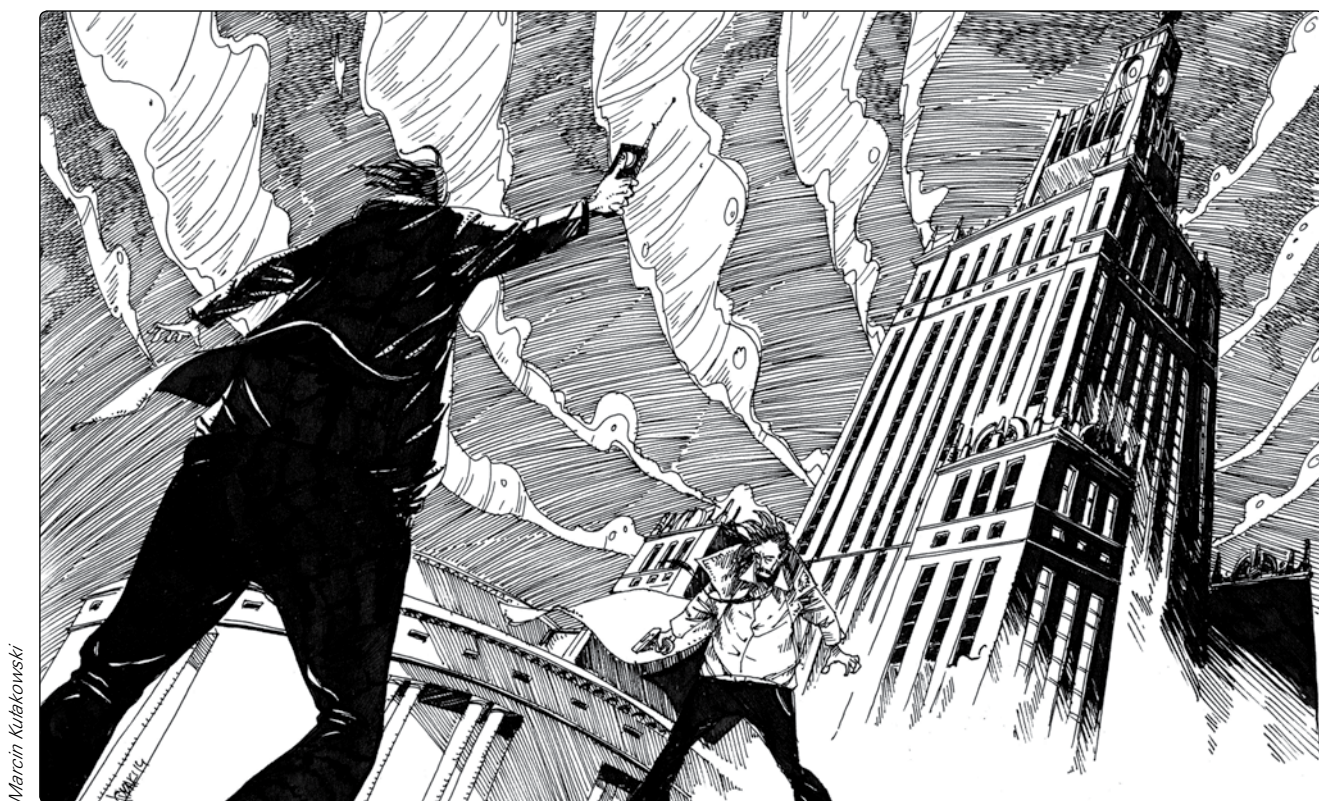
Rankiem mgła oplotła blokowisko chłodem i niepokojem. Było jeszcze ciemno, granatowe niebo jaśniało na wschodzie błękitną luną gaszącą powoli gwiazdy. W oknach wieżowców zapalały się za to pojedyncze światła filtrowane przez różne barwy rolet. Pustka właściwie. Ktoś przemykał z psem, ktoś wsiadał do samochodu, rozmawiając jednocześnie przez telefon. Ja zaliczyłem bezsenność, a nad ranem nie chciałem już próbować zasnąć, więc kręciłem się pomiędzy wieżowcami.

Pan Mietek, okoliczny bezdomny, siedział na ławce koło klatki. Przywołał mnie machnięciem ręki i poprosił, bym przysiadł obok. Zdziwiła mnie ta prośba, ale nie spieszyłem się, więc co mi tam? Zaciekawilo mnie zresztą, co miał do powiedzenia. Na osiedlu, gdzie pełno nieciekawych historii i niespełnionych żywotów, Mietek był być może ostatnią tajemnicą, bo pojawiał się znikąd i zniknął niespodziewanie. Siedząc z reklamówką, delektując się wyciągniętym ode mnie papierosem, powiedział w końcu:

- Nie zastanowiło to pana nigdy?
- Co mianowicie?

STRAŻNIK ŚMIERCI

SŁAWOMIR PROCHOCKI



*Ta historia wydarzyła się naprawdę.
A nawet jeśli nie, może wydarzyć się w każdej chwili.*

Ten dzień miał być dokładnie taki sam jak tysiące innych dni. Obudziłem się jak zwykle przed piątą i jak zwykle nie mogłem już zasnąć. Kiedyś śmiałem się z tego, gdy słyszałem, że starzy ludzie mają kłopoty ze snem. Ja, odkąd pamiętałem, spałem jak kamień, osiem godzin jesienią i zimą, siedem wiosną i latem. He, he, myślałem sobie, mnie to nigdy nie spotka. Nie pamiętałem tylko, czy miałem na myśli kłopoty ze snem, czy starość. Myliłem się w obu sprawach.

Dzień zapowiadał się słonecznie. Co prawda było na razie dosyć mglisto, ale do południa mgła miała opaść i zniknąć. Zrobiłem sobie kawę i otworzyłem drzwi na balkon. Gdyby żył Klops, wyszedłbym z nim na spacer. Jeszcze zanim zrobiłbym sobie kawę. Ale Klops nie żył. Ile to już miesięcy? Boże, już rok! Cały rok. Nawet nie wiem, kiedy przeleciał.

Wahałem się, czy nie wziąć kolejnego psa ze schroniska. Z jednej strony to obowiązek, spacerować niezależnie od pogody, trzy razy dziennie. Z drugiej brakowało mi smutnych oczu i kudłatego łba pod dłonią. Psy to najlepsze stworzenia na tej planecie. Gdybym wierzył w Boga, pomyślałbym, że zesłał je na Ziemię po to, by uczyniły nas lepszymi. Nie byłaby to ani pierwsza, ani ostatnia pomyłka Stwórcy. Nic na świecie nie mogło uczynić ludzi lepszymi. Jednak tak właśnie bym myślał o psach, gdybym wierzył w Boga. Ale nie wierzyłem.

Usiadłem na huśtawce, którą miałem na balkonie. Zwykła, mała huśtawka ogrodowa z supermarketu. Gdy ją kupiłem, pomyślałem, że to wprost genialne posunięcie. Wydawało mi

się, że jak tylko inni ludzie z osiedla zobaczą moją huśtawkę, to zaraz sobie kupią na balkony takie same. Przecież to takie wspaniałe, huścić się rano z kubkiem kawy w dłoni i patrzeć, jak budzi się dzień. Ale nikt inny nie kupił sobie huśtawki.

Właściwie nie miałem nic do roboty. Emerytura przychodziła dopiero pojutrze, zakupy zrobiłem wczoraj, na sprzątanie mojego małego mieszkania też jeszcze nie nadszedł czas. Gapiłem się na rzednącą mgłę, a minuty miały jak pełznące rzedem ślimaki. Mogłem robić, co chciałem. Tylko nie miałem nic do robienia.

Postanowiłem pojechać do schroniska po nowego psa. Decyzję podjąłem nagle i od razu się ucieszyłem. O rany! Ale będzie fajnie! Z rozmachem wstałem z huśtawki i wtedy usłyszałem ten DŹWIĘK.

Prawie o nim zapomniałem. Właściwie to zapomniałem zupełnie. Dlatego nie poznałem go od razu. Dopiero gdy powtórzył się, zwróciłem na niego uwagę. Sekundy maszerowały jedna za drugą, a ja trwałem zastygły w słup soli, z uniesioną do połowy ręką z pustym kubkiem po porannej kawie, i tylko serce waliło mi gigantycznym dzwonem w piersi, *łup!, łup!, łup!*

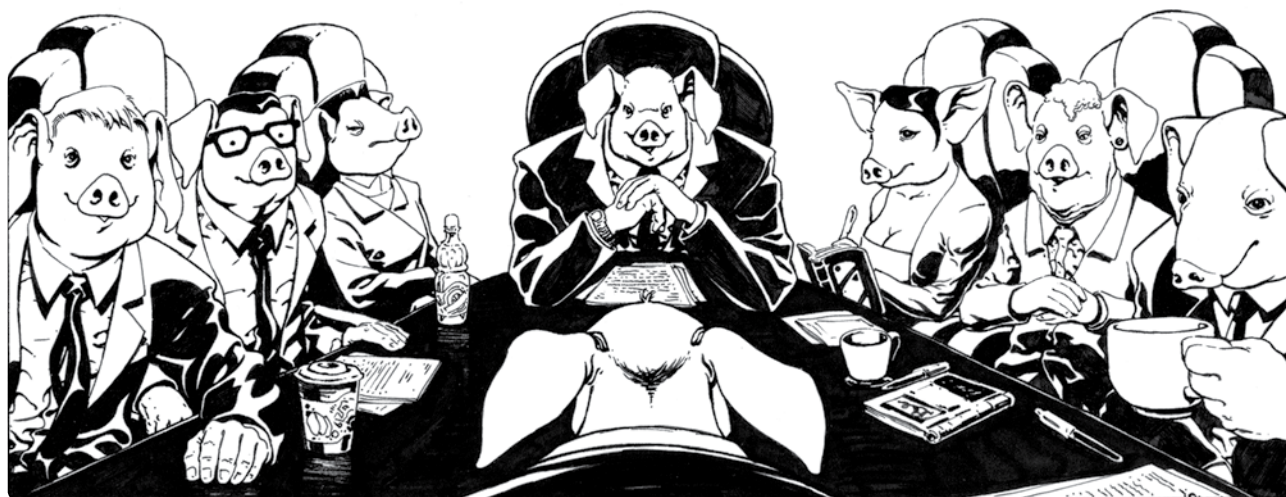
Znowu! Wysoki dźwięk złożony z trzech tonów, trwający równe pięć sekund, i cisza. Zębate koła w mojej pamięci drgnęły i zaczęły obracać się ze zgrzytem, pokonując inercję dziesiątek lat bezruchu, zrywając pajęczyny utkane z zapomnienia i mroku. Wszedłem do pokoju, otworzyłem szafę i wyjąłem je. Małe tranzystorowe radio, japońskie, z czasów,

JESZCZE NIE SKOŃCZYŁEM

(My Work is Not Yet Done)

THOMAS LIGOTTI

Nikodem Cabala



Część I

1.

Zawsze się bałem. Nigdy jednak, jakkolwiek egoistycznie to nie zabrzmiałoby, nie uważałem tego za powód do wstydu czy skruchy - nawet jeśli strach przyczyniał się ostatecznie do cierpienia. Wydawało mi się, że nawet najwspanialszy człowiek w obliczu śmierci nie potrafią zdusić w sobie strachu, niepewności, a czasem nawet paniki. Z drugiej strony, trzeba być całkiem niezłą świnią, żeby przetrwać choćby jeden dzień wolny od wszelkich rodzajów niepokoju - nie mówiąc już o tych nieustraszonych ludziach, którzy stają w obliczu niebezpieczeństwa, jakby chcieli zamachać rękoma i powiedzieć wszystkim innym:

- Hej, spójrzcie na mnie. Jestem tutaj. Zobaczcie, na co mnie stać. To właśnie mnie musicie pokonać. Tak, właśnie mnie.

Oczywiście, każdy, kto próbuje osiągnąć coś na tym świecie i komu brakuje przyzwoitości, żeby wyrwać się z tłumu, krzywdząc samego siebie lub podporządkowując się strachowi, musi mieć w sobie coś ze zwierzęcia. To tylko kwestia skali.

W firmie, w której od dawna pracuję, najczystsza forma świni reprezentuje siedem osób, z którymi spotykam się w sali konferencyjnej zgodnie z cotygodniowym harmonogramem. Ja sam awansowałem - trochę niechętnie, ale z pewną dozą świńskości - na stanowisko kierownika jednego z niezliczonych działów. Wprowadziło to konieczność mojego uczestnictwa w spotkaniach z sześcioma innymi, podobnymi mi kierownikami, oraz siódmym, który dalece prześcigał nas wszystkich w byciu świnią.

Podczas zebrania mojego zespołu jeden z pracowników, który nie był zafiksowany na metaforze ze świnią tak jak ja, nazwał współuczestników moich cotygodniowych spotkań Siedmioma Krasnoludkami.

- W takim razie ja musiałbym być Królową Śnieżką, Dave. Czy to miało na myśli?

- Nie, Frank - wtrąciła Lisa. - Wtedy ty byłbyś Księciem, czekaj, jak on miał na imię...

- Zaklętym - powiedziała Lois.

- Słucham? - spytała Lisa.

- Zaklęty Książę. Nie oglądałaś tego filmu?

Lisa wyglądała na urażoną. Jej mina była bardzo przekonująca.

- Tylko żartowałam - powiedziała Lois, która nie tak łatwo dawała się złapać na podobne sztuczki.

Podejmując przerwany wątek, Lisa oświadczyła:

- Racja, to był Zaklęty Książę.

- To miłe, Liso, dziękuję - powiedziałem, jednak nie na tyle szybko, żeby wyprzedzić Christine.

- No tak, bo zwykle obgadujemy Franka za plecami - mruknęła. - Ale w porządku, jesteś tu dopiero od tygodnia.

- Przepraszam, nie chciałam, żeby to wyglądało, jakbym próbowała się podliznąć czy coś w tym stylu - mówiąc to, Lisa brzmiała całkiem szczerze. - W dziale, w którym wcześniej pracowałam...

- Już tam nie pracujesz - wtrąciłem. - Pracujesz teraz tutaj. Każdy z obecnych pracował wcześniej w jakimś innym dziale tej firmy.

- Oprócz ciebie, Frank - zauważył Elias. - Ty jesteś w tym dziale od zawsze.

- Zgadza się - odparłem.

Po zebraniu z moim zespołem udałem się na inne spotkanie, na którym zamierzałem grać wyjątkową świnią. Chciałem przedstawić współpracownikom mój nowy pomysł, co wymagało oczywiście zaprezentowania sporej arogancji i pewności siebie. Minęło już trochę czasu, od kiedy mój status uległ zmianie, i zaczynałem doświadczać nieprzyjemnego wrażenia, że moja reputacja staje się wątpliwa.

To jest właśnie paradoks związany z życiem w ciągłym strachu: dręczące cię lęki pozwalają ci sądzić, że zostałeś wykonany z bardzo szlachetnego materiału niż inni, a jednocześnie po pewnym czasie każą ci poszukiwać akceptacji świń - czy też krasnoludków - które wzbudzają ten strach i same najwyraźniej go nie odczuwają. Takie osoby potrafią doskonale kontrolować przerażenie, zrzucając je na ciebie i podsycając je tak długo, aż w końcu będziesz zmuszony przybiec do nich po pomoc, a wtedy odwołują się do twojej świńskości w nadziei, że uda im się udowodnić, iż jesteś jeszcze większą świnią - albo jeszcze mniejszym krasnoludkiem - niż oni. Jest to wtedy jedyna rzecz, która może przynieść ci odrobinę ulgi w tym zgubnym lęku, rodzącym się z niepewności co do innych oraz ich zamiarów względem ciebie.

Niestety, ten sam strach pozwala ci uważać się za przedstawiciela lepszego gatunku niż ci, którzy cię otaczają. Wszystko, co wykracza poza ten poziom - każde przekroczenie niepokoju - powoduje, że zaczynasz wyobrażać sobie, że nafaszerowany lekami uspokajają-